№ 66. Warszawa, dnia 4 (16) Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13. kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

CLAUDE BERNARD

I NOWOŻYTNY MATERYALIZM.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 65*).

Jak już wyżéj nadmieniono, przytoczona praca przedstawia rapport do ministra, ale rapport osobnego rodzaju. Przedstawia on właściwie sprawozdanie z tego udziału, jaki wzięła Francya w ogólnym postępie fizyologii w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, a wykazując materyalne warunki tego postępu, daje zarazem obraz owych przeszkód, które szkodliwie wpłynęły we Francyi na ogólny rozwój prac w fizyologii, tak, że w tym kierunku zagranica a mianowicie Niemcy, koniecznie ją prześcignąć musiały. Co do owego udziału, Francya może być słusznie dumną z niego. W historyi fizyologii będzie on zawsze świetne zajmował miejsce. Francya to głównie rzuciła podwaliny téj wspaniałéj budowli, któréj wzniesienie w przyszłości dziś zaledwie przeczuć jesteśmy w stanie. *Lavoisier* pierwszy wykazał, że organizm zwierzęcy pochłania tlen, to ciało, które wszystkie inne ciała w przyrodzie również pochłaniają przy swojém spaleniu. On dowiódł wspólnie z *Laplace'm*, że ciepło zwierzęce wywiązuje się w organizmie w skutek rzeczywistego gorenia cząstek, nieodróżniającego się w niczém od podobnego gorenia w przyrodzie, że i prawa, rządzące objawami chemicznemi i fizycznemi w organizmie, są te same, co rządzą podobnemiż objawami po za obrębem jego w przyrodzie. *Bichat* wykazał, że wszystkie objawy fizyologiczne organizmu zawisłe są wprost i ściśle od szczególnych fizyologicznych własności żyjącéj tkanki, tak jak i w fizyce każdy objaw jest zawisły od fizycznych własności danéj materyi. *Magendie* nakoniec wprowadził do badań fizyologicznych, i na nowo utrwalił niegdyś używaną metodę eksperymentalną na żywém zwierzęciu, stanowiącą obecnie niewzruszoną ich podstawę. Cały dalszy rozwój fizyologii na tych tylko podstawach był możliwym i przyjął odtąd kierunek pewny, zabezpieczający i powodzenie i szybkość dalszego postępu, wprawiającego obecnie świat w zdumienie swemi wynikami i wpływem ich na cały umysłowy rozwój i dobrobyt społeczeństwa.

Claude Bernard rozbiera w następstwie ten postęp nauki w szczegółowych gałęziach fizyologii i wykazuje w nim udział francuzkich fizyologów z pewną dumą i chlubą, gdyż do ostatnich lat prawie zasadnicze odkrycia wychodziły głównie z Francyi. Szczegółowe przedstawienie tych odkryć, nie zdaje nam się koniecznem. Są one bardzo ciekawe dla specyalisty, mogącego je zrozumieć i należycie ocenić ich ważność. Dla czytelników Wieńca stanowiłyby one po większéj części niezrozumiałe hieroglify, wymagające objaśnienia, za nadto obszernego na ramy tego pisma, a jednak nieprowadzącego w zupełności do celu. Lecz autor potrąca równocześnie mimochodem pewne ogólne kwestye, stanowiące kamień węgielny całego poglądu na zasadnicze, społeczne i moralne, idee ludzkości. I w tym względzie praca p. Claude Bernard" ma wielką doniosłość. Wiadomo, że w ostatnich czasach we wszystkich kwestyach, dotyczących świata umysłowego i moralnego człowieka, wszyscy, a mianowicie zwolennicy nowoczesnego realizmu, a jeszcze więcéj materyalizmu, lubią odwoływać się do fizyologii, jako do niewzruszonéj podstawy wszystkich w téj mierze wywodów. Otoż, jest to rzeczą nader ciekawą, jaki pogląd ma na te kwestye człowiek, który należy właśnie do najpotężniejszych badaczy w téj dziedzinie, i to do rzędu tych, którzy się w ostatnich czasach najwięcéj przyczynili do rozwoju fizyologii i jéj podstaw. Do podobnych kwestyj zasadniczych należą niezaprzeczenie: pojęcia *materyi, życia i siły żywotnéj, stosunek mózgu do władz umysłowych i wszelkich objawów t. z. psychicznych, pojęcie i zakres fizyologii w ogóle.* Rozpatrzmy jakie p. Claude Bernard w téj mierze wypowiada zdania.

Organizm, jest to całość mechanicznych narządów żywotnych, których ilość, jakość, doskonałość, napięcie żywotne, trwałość i rozwój nakreśla, oznacza z góry (determine) typ macierzystego organizmu i chwila poczęcia. „Główną i istotną cechą organizmu żyjącego jestestwa, mówi on, — jest znikomość, śmiertelność. Organizmy muszą się odnawiać i następować jeden po drugim, gdyż one są tylko *przemijającemi* przedstawicielami *życia*, które *samo* jest *wiecznem*... Organizm raz rozwinięty, przedstawia żyjącą machinę, która w skutek spełniania swych funkcyj niszcząc się i zużywając każdéj chwili i nieustannie, za pośrednictwem objawów odżywiania równocześnie się odradza i przez czas dłuższy lub krótszy utrzymuje w całości, lecz zawsze w granicach, które jéj przyroda z góry naznaczyła." „Przyrządy ruchu, a nawet organa nerwowe są w rzeczywistości niczém inném tylko przyrządami mechanicznemi i fizycznemi, stworzonemi przez organizm. Te mechanizmy są bardziéj zawiłe niż mechanizmy *nieżywotne*, lecz co do praw, które niemi rządzą, nie różnią się wcale od nich... Życie w zasadzie jest tylko mechanizmem, i ono utrzymuje się w organizmie tylko przez dobrze zrównoważoną działalność wszystkich tkaninowych pierwiastków jego."

Czémże więc różni się organizm, ta machina żyjąca, od machiny fizycznéj? Oto dwiema własnościami, t. j. że machina żyjąca spełnia swoje czynności, swe funkcye, przez ciągłe odradzanie się, odżywianie, i że *materyał niezbędny do tego odrodzenia, ona sama w sobie, za pomocą swych własnych sił wyrabia*; gdy tymczasem machina fizyczna, funkcyonując, zużywa się i niszczeje bezpowrotnie, chyba, że jaka siła wyższa zniszczone w niéj części innemi zastąpi. Owo zaś odżywianie się organizmu jest nieprzerwanem tworzeniem materyi organicznéj za pomocą sposobów, polegających na własności twórczéj tkaniny, właściwéj żyjącemu jestestwu: jest ono tém samém co i odrodzenie i tworzenie, tak że objawów odżywienia od objawów odradzania, wytwarzania (génération) odróżniać niepodobna; „odżywienie jest niczém inném, tylko bezustannem tworzeniem (génération), *żyć* zaś i *żywić się*, są to jednoznaczne (synonimes) wyrazy." Aby zaś czytelnik dobrze uchwycił myśl całą, przytoczymy dosłownie jeden ustęp, malujący ją dokładnie: „Zwróciwszy uwagę na zupełny rozwój żyjącego jestestwa, widzi się jasno, że jego organizacya jest wynikiem prawa odwiecznego (qui préexiste) kierującego twórczością organiczną (loi organogénique), według myśli z góry nakreślonéj (idée préconçue), przechodzącego z jednego organizmu na drugi za pomocą atawizmu czyli organicznéj tradycyi. W studyach eksperymentalnych nad objawami tworzenia się tkanin żywotnych i organizmów, możnaby upatrzyć potwierdzenie i usprawiedliwienie słów Getego, porównywającego przyrodę z wielkim mistrzem sztuki. Bo też przyroda i artysta zdają się jednakowo postępować przy ucieleśnieniu twórczéj myśli swego dzieła. Przy rozwoju widzimy najprzód, nim się okaże ślad jakiéjkolwiek organizacyi, prosty zarys jestestwa. Najprzód zaznaczone widzimy zarysy ciała i organów, zacząwszy od rusztowania, tworzącego się z przechodnich organów, służących dla płodu jako tymczasowo funkcyonalne przyrządy. Wtedy jeszcze nie widzimy najmniejszéj różnicy tkanin; cała massa składa się z komórek plastycznych, zarodzinowych. Lecz na téj żywotnéj kanwie jest już zaznaczony idealny rys organizacyi jeszcze dla nas niewidzialnéj, który z góry już wyznacza dla każdéj części, dla każdego pierwiastku właściwe miejsce, właściwą budowę i odpowiednie własności. Tam gdzie mają być naczynia krwionośne, nerwy, mięśnie, kości i t. d., komórki zarodzinowe zmieniają się w ciałka krwi, w tkaninę naczyń, żył, mięśni, nerwów, kości i t. d. Organizacya nie występuje odraźnie (d'emblée); z początku niejasna, jakby tylko naznaczona, wydoskonala się przez rozwój i uwydatnienie odróżniających cech swoich pierwiastków, t. j. przez wykończenie coraz to doskonalsze wszystkich cechujących szczegółów. Lecz ta *władza organizacyjna* istnieje nietylko w samych początkach życia, w jajku, zarodku lub w płodzie; ona prowadzi swe dzieło daléj i w organizmie wykształconym, kierując przejawami żywotnych zjawisk. Ona to albowiem utrzymuje za pomocą odżywiania i odnawiania bezustannie własności wszystkich pierwiastków żyjącéj machiny. Organizacya jest przeto niczém inném, tylko ową nieustającą, twórczą (génératrice) potęgą, słabiejącą jednak coraz bardziéj z wiekiem. Dla tego też będziemy nazywali wszystkie zjawiska organizacyi, odżywiania i organicznéj twórczości u zarodka, płodu i dorosłego, zjawiskami *organoodżywczemi* (organotrophiques), gdyż one wszystkie podlegają jednemu i temu samemu prawu." Żyjące ciała są to wszystko niestałe związki, rozkładające się bezustannie pod wpływem otaczającego je zewnętrznego świata. Jest to nawet zasadniczy warunek ich życia, a śmierć ich następuje w skutek zużycia i zniszczenia organicznéj substancyi. Aby więc mogło trwać życie, materya żywotna, tworząca tkaninowe pierwiastki, musi się w miarę swego rozkładu bezustannie odnawiać, tak, że w rzeczywistości, można przyjąć, że przyczyna życia spoczywa w potędze organizacyi, wytwarzającéj żyjącą machinę i wynagradzającéj jéj nieustanne straty... Tę dwulicowość żyjących jestestw spostrzegano już dawno i przypuszczano, że pierwiastek wewnętrzny życia (dusza czyli siła żywotna), będący pierwiastkiem twórczym i odradzającym, zostaje w ciągłéj walce z siłami zewnętrznemi, fizykochemicznemi, stanowiącemi władze niszczące organizmu. Bichat sformułował myśl tego antagonizmu żywotnego w swojém określeniu życia: „Życie jest to całość funkcyj, stawiających opór śmierci." „Siła odradzania czyli organoodżywcza zmniejsza się z wiekiem jestestwa, i na tém polega znamię starości. Gdy się wyczerpie i cały swój zasób żywotności zużyje, odradzanie, wynagradzanie utraty, następuje powoli, i wszystkie organa biorą udział w téj, jak ją nazwać można, żywotnéj gnusności.

„Chemicy ustanowili troskliwie bilans odżywienia się w jestestwach żyjących. Oni obliczyli ilość różnych substancyj odżywczych, niezbędnych dla utrzymania organizmu i postawili ogólne zrównanie czynności odżywczych, wyprowadzając ztąd wniosek, że żyjące organizmy nie są zdolne nic stworzyć ani też za pomocą zjawisk odżywienia i rozwoju cośkolwiek nowego uformować, albowiem rozbiór pokazuje, że wszystkie chemiczne pierwiastki w nich zawarte, czy to wydzielone na zewnątrz, czy też przyswojone, poczerpnięte są ściśle na wagę z żywności; słowem twierdzą, że przy tém *krążeniu* materyi, czyli nieustannéj wymianie w przyrodzie, między państwem nieorganiczném a organiczném, nic się *nie tworzy* nic *nie ginie*. Jest to twierdzenie niewzruszone i bezwzględnie prawdziwe ze stanowiska chemika; lecz fizyologicznie tego znaczenia nie ma. Odżywienie i rozwój jestestwa stanowią prawdziwe organiczne *tworzenie*, i pod tym względem wszystko się tworzy w organizmie żyjącym, i nic weń nie przechodzi w zupełności ukształtowaném. Zapewne, siła żywotna nie wytwarza pierwiastków, czyli ciał prostych chemicznych, wchodzących w skład żywotnéj substancyi, lecz ta sama żywotna substancya, te pierwiastki tkaninowe, są w rzeczywistości płodem tworzenia. Karmienie nie przelewa ich wcale z jednéj istoty w drugą, a tém mniéj jeszcze z świata nieorganicznego, w którym nawet nie istnieją, w świat organiczny, którego istotne znamię stanowią. Te pierwiastki organiczne rodzą się, powstają i rozwijają za pomocą odrębnych i właściwych sposobów morfologicznych; odżywiają się i obumierają w organizmie, do którego należą. To wszystko pokazuje różnicę, jaką ustanowić wypada między pierwiastkiem chemicznym a pierwiastkiem fizyologicznym. Chemicy mają słuszność, twierdząc, że pierwiastek chemiczny jest niezmienny i wieczny w przyrodzie; lecz fizyolog musi ze swéj strony również przyjąć, że tak pierwiastek histologiczny jak i żyjący organizm są nadzwyczaj łatwe do zniszczenia i znikome."

Mechanizmy żywotne, jako mechanizmy, nie różnią się w niczém od mechanizmów nieżywotnych. Lecz jakież to prawa rządzą ich wytworzeniem, ich odżywieniem i ich czynnościami? Sąże to te same prawa, które, jak twierdzą zwolennicy krańcowego realizmu, albo materyalizmu, i całym światem nieorganicznym w ogóle rządzą, lub też życie organiczne posiada osobne i właściwe siły, wytwarzające objawy organicznego życia, i odrębne prawa, kierujące organicznemi przejawami? Na te pytania daje Claude Bernard odpowiedź stanowczą: „Przejawy organizmów żywotnych, mówi on— nie odznaczają się żadną odrębnością i podlegają w zupełności ogólnym prawom i chemicznym i fizycznym. Objawy chemiczno-fizyczne, odbywające się w organizmach żyjących, są co do swéj istoty, swych warunków, praw niemi rządzących i swych wytworów, zupełnie takie same, jak i objawy odbywające się w ciałach nieżywotnych (bruts); one się różnią tylko *w sposobach i narzadach, za pomocą których się przejawiają*. Pod względem fizyko-mechanicznym, życie jest tylko jedną odmianą ogólnych objawów przyrody; ono niczemu nie daje początku (engendre), ono bierze swe siły z świata zewnętrznego i zmienia ich przejawy tysiącznemi sposobami. Dawna myśl, że organizm jest tylko *mikrokosmem* (małym światem, stanowiącym odbicie *makrokosmu* (świata wielkiego) zostaje tém potwierdzona. Obecnie jest już dowiedzionem, że wielka ilość objawów, odbywających się w jestestwach żyjących, może być wytworzona sztucznie, po za obrębem organizmu, w świecie nieżywotnym. Tylko sposobów i przyrządów właściwych organizmu sztucznie wytworzyć się nie da. Chemik może w swém laboratoryum wyprowadzić połączenia, które pod względem własności chemicznych niczém się nie różnią od połączeń odbywających się w zwierzętach i roślinach. P. Berthelot nauczył wytwarzać sztucznie różne essencye roślinne, olejki wonne, różne bezpośrednie roślinne i zwierzęce utwory; chemik może zatém naśladować sztucznie twory żyjącéj przyrody, lecz *sposobów* jéj naśladować nie potrafi, gdyż nie jest w stanie stworzyć wydzielinowéj komórki, stanowiącéj przyrząd jéj odrębny i właściwy. W dziedzinie chemii mineralnéj wykonywa się mnóztwo dwoistych rozkładów i innych chemicznych operacyj, podobnych we wszystkiém do tych, które się w roślinach i zwierzętach odbywają; lecz w tym wypadku życie używa odrębnych i właściwych sposobów, których chemik naśladować nie zdoła. Są komórki organiczne—żywotne i roślinne,—które rozkładając kwas węglany wyziewają tlen, inne chłoną tlen a wyziewają kwas węglany; są nawet takie, które same, lub za pośrednictwem swych wytworów—rozpuszczalnych drożdży,—wytwarzają sposobem odrębnym i właściwym (przez fermentacyą) alkohol, ocet, kwasy tłuszczowe, glicerynę, mocznik i wiele innych. Takim to sposobem diastaza uwadnia krochmal i zmienia go w dekstrynę i glikozę, sok trzuszczki zmydla tłuszcze i wytwarza z nich glicerynę i kwasy tłuszczowe i t. d. Są to wszystko objawy chemiczne, mogące być wytworzone i w laboratoryum za pomocą sił chemicznych mineralnych, które w gruncie rzeczy nie różnią się w niczém od sił chemicznych organicznych, tylko, że w organizmie owe objawy powstają w narządach fizyologicznych, przedstawiających odrębne i właściwe życiu sposoby, których chemik wytworzyć nie jest w stanie. My nie możemy stworzyć komórki organicznéj wydzielinowéj, gdyż pierwiastek tkaninowy jest tworem rozwoju organicznego, wyposażonym, jeśli się tak wyrazić można, niejako uprzedniem wychowaniem, nauczającém go, co ma wydzielać. Jest to niejako rodzaj chemicznego jajka, które się tak od razu wytworzyć nie da. Wydzielanie jest to właściwie wyrób i sposob odżywienia, i rozwoju pierwiastku. Tym to

sposobem grzyb drożdżowy powoduje wytworzenie alkoholu, a równocześnie odbywają się przejawy jego odżywienia i rozwoju. *(d. c. n.)*

KLEJNOTY WYZWOLENIA.

(Z WOJNY 1870—1871).

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO P. KOPPÉE,

przez Wacława Szymanowskiego.

(Wykwintny buduar rzęsisto oświetlony. Przed zwierciadłem siedzi młoda kobieta w balowéj tualecie wygorsowana i przybrana w kosztowne klejnoty).

Bal! Więc znów na bal idę jak dawniéj.... Mój [Boże!
Toż przecię wiecznotrwałą wojna być nie może.
Marznąć, głód znosić, strzelać z fortecznego ro- [wu
Przeje się... Może grzeszę mówiąc to?... gdzież [znowu?—
Wszak spełniałam w téj klęsce i w téj nędzy [wielkiéj
Obowiązek Francuzki i obywatelki.
W szpitalu nad rannymi w pośród nocnéj ciszy
Czuwałam, a przywykłe tylko do klawiszy
Ręce, bez rękawiczek, na dworze w mróz biały
Przysposabiały szarpie lub krew tamowały.
Przetrwałam oblężenie i szłam na wycieczki
Jak żołnierz... Nie zaszkodzi więc dziś choć tro- [szeczki
Użyć zabawy i ot potańcować sobie.
Wszakże to nie uwłacza méj Francyi żałobie?
Ona kobieta, więc wie, że bal rzecz niezdrożna,
Że dwie zimy bez balu obejść się nie można,—
Że rok już wymazawszy z życia mego karty,
Skonfiskowałam stroje, uśmiechy i żarty,
Czułam się bez klejnotów zgnębioną i chorą,
Jak dziecko, gdy za karę cacko mu zabiorą.

(Spogląda w zwierciadło).

Jak piękny ten naszyjnik i te zausznice!
Nigdy z nich nie tryskały takie błyskawice
Światła, w jednéj jasności połączone fali....
Ten pierścionek na palcu jak płomień się pali!
Ciało się pod perłami swobodniéj promieni,
Miły mu ciężar złota i drogich kamieni,
Co w koło mnie świetlanym połyskują deszczem,
I których chłód rozkosznym przenika mnie dre- [szczem.

Dziewiąta... jam gotowa, wcześniéj się ubrałam
Dzisiaj.—Tak już od dawna dziwną żądzą pałam,
Żeby przybrać na nowo te balowe stroje,
Żem chciała wcześniéj włożyć wszystkie skarby [moje,
I tu, w téj samotności, któréj nic nie płoszy,
Użyć sobie jak dziecko niewinnéj rozkoszy;
Czyż to grzech, że jak dzieci czasem się bawimy?...
Lecz jeszcze wcześnie—trzeba czekać...

(Chwila milczenia).

Przeszłéj zimy...
Czemuż o to wspomnienie myśl moja potrąca?...
Tak jest, tego samego było to miesiąca
I dnia,—czuwałam nocą przy łożu rannego.—
Rok już temu, rok cały... jak szybko dni biegą!...
Był to chłop, żołnierz prosty, jedna z ofiar woj- [ny...
Pomnę bladą twarz jego i ów wzrok spokojny,
Kiedy w oczach doktora, w chrześciańskiéj po- [korze
Wyczytał wyrok śmierci... a gdy po doktorze
Zjawił się kapłan—widząc, że się Chrystus zbliża,
On salutował ręką boży sztandar krzyża,
Z czcią i skruchą przyjmując słodki pokarm du- [szy.—
Ów bohater, co świeżo prosty kij pastuszy
Rzucił,—konał... ja przy nim czuwałam noc całą,
Mówił do mnie, iż jedno go tylko bolało
Wspomnienie, że tam na wschód, w Szampanii, [w oddali
Rodzice jego sami w chacie pozostali,
Pełniąc rozkazy Niemców i zawodząc sobie,
Że żołdak się rozgościł w téj wiejskiéj chudobie...
„Tam—mówi—łzy i boleść, tam krew i niedola.
Poniszczone zasiewy, wyplenione pola,
A ludność w ciągłym żalu, dni licząc żebracze,
Coraz to nowe Niemcom opłaca haracze...
Każdy się kryje w trwodze, że go Niemcy schwy- [cą.
Słychać tętent, to hułan przebiega ulicą,
I zagląda przez okno w każde pomieszkanie,
Szukając gdzie wygodniéj na kwaterze stanie.
Toż dopiero dzień sądny wówczas się zaczyna!
Trzeba mu dawać chleba, mięsa i wina....”

Smutno, smutno roztaczał swe prostacze żale!
Ów biedak, który liter nawet nie znał wcale.

Był wymowny,—z ócz jego tryskały promienie...
Bo przez to gorączkowe on widział marzenie,
Jak w chacie przed posążkiem małego kaprala
Grono opasłych Niemców z męztwa się prze- [chwala,
I pobrzękując chrzęstem złowieszczym pałaszy,
Urąga się zwycięztwom wielkiéj armii naszéj;
Przed nimi postać starca wiekiem pochylona...
To dziadek,—stary jeszcze żołnierz Napoliona,
Twarz jego trupio blada, z oczu łzy mu płyną,
I drżącemi rękami rozlewa im wino.

O! wspomnienie tych srogich konania katuszy
Nigdy jeszcze tak strasznie nie drgało w méj du- [szy!
Tak; ten człowiek miał słuszność... w téj złowie- [szczéj dobie
On mówił prawdę,— tak jest—bo pomyśleć so- [bie—
Że oni tam są jeszcze, i zostaną póty,
Aż póki kraj nie spłaci swéj złotéj pokuty!...
Złota!.. trzeba go tyle!..

(Podnosi oczy do zwierciadła i mówi z zadziwieniem:)

Jakżem dzisiaj strojna!..
A! prawda, zapomniałam, skończyła się wojna,
Dziś bal...

(Z goryczą:)

Bal! trzebaż przecię użyć nam pokoju.
A może gdy ja właśnie w tym kosztownym [stroju,
Ściskając świeży bukiet w wypieszczonéj dłoni,
Zasiądę wśród jedwabiów, koronek i woni
W salonie kędy światła jasną płyną rzeką,
Może właśnie w téj chwili,—ot tam, gdzieś da- [leko
Patrol pruskich hułanów na wieczornych czatach
Zagląda, czy się światło nie pali po chatach...
Zostanę...

Ale czyż to już ostatnie słowo?
Czyliż tę słabość moją sądzę zbyt surowo?
O! nie... owo wspomnienie zmarłego złowieszcze
Pyta—czy pozostali Niemcy w Francyi jeszcze?
Ten żołnierz rany swoje rozdzierając krwawe,
Chce wiedzieć, czy Francuzka jadąc na zabawę
Wypełniła dla kraju powinność sumienia?

(Zdejmuje klejnoty i kładzie je w pudełko).

A więc znów do waszego powróćcie schronienia,
Z wami razem i boleść tajoną ugaszę...
Białe perły osuszcie łzy siostrzyne wasze,
Wy tęczowe opale, ogniste beryle,
Skróćcie oczekiwania czas, chociaż na chwilę!
Do czegóż służyć może ta obrączka złota?
Ten topaz, co słoneczne blaski z siebie miota
Może pocieszyć serce, co z dawna zbolało;
A ten dyament, to okup jest za wioskę całą.
Tak, to są rady mego dobrego anioła...

A teraz pójdę na bal wolna i wesoła,
Tak jak Francya i ja dziś strój przywdziewam [wdowi
Jak ona własnym wdziękiem pragnę być bogatą,
A gdy kto mnie zapyta odpowiem mu na to:
„Kraj chciał złota, i złoto oddałam krajowi!”

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

I.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 65).

— Gdzież to Stach? spytała znowu złośliwie Wickowa, kryjąc swoje złe chęci pod pozorem życzliwości; jeszcze nie wrócił pewno z roboty?

Stara spojrzała niespokojnie na kumę i odsunęła z trudnością gotujący się garnek od ognia.

— Powinienby już nadejść, szepnęła, ale go jakoś nie widać, wieczerza gotowa.

— I nie wiecie, gdzie on jest? mówiła Wickowa z przyciskiem

— A zkądże miałabym wiedzieć? czy to ja gdzie chodzę? ot siedzę w chałupie dzień cały, oczekując zmiłowania.

— Mnie się widzi kumo, że choć wy nie myślicie o synowéj, Stacho sam o niéj myśli.

Wickowa rzuciwszy to przypuszczenie niby z niechcenia, przybliżyła się do komina i grzała ręce, spoglądając z pod oka na Dąbkową.

Ona podniosła na nią pytające źrenice.

— Co wy mówicie? zapytała z żywością; czy wiecie co? czy wpadła mu w oko która dziewka? Nie byłoby dziwoty, chłopak młody.

Wickowa kiwała głową tylko.

— Oj wpadła, wpadła, tylko ponoć nie ta, coby trzeba. Ja mu raiłam córkę gospodarską, coby i od wojska wykupić go mogła, i o was mieć staranie, ale jemu to właśnie w głowie!

— Jakto! mówiliście mu o Plaskociance?

— Mówiłam, mówiłam, ale jeszcze pstro w głowie, ot i wszystko. Teraz wy czekacie na niego, a on tam bałamuci się z tą bladą Hanką, co to nie ma ni ojców, ni dobytku. Powiadam wam, Dąbkowa, dajcie baczenie na syna, bo wam go ta dziewucha urzecze.

Nie wiadomo jaką odpowiedź matka Stacha byłaby dała swojéj kumie, lecz ta ostatnia przypomniawszy sobie pilne zajęcie, szybko wybiegła z chaty. Wprawne jéj ucho usłyszało z daleka szelest kroków, i nie chcąc się spotkać znowu ze swoim chrzestnym synem, zerwała nagle rozmowę. Wiedziała z któréj strony mógł nadejść, i niepostrzeżona przez niego przemknęła daléj pomiędzy chaty i sady.

Stach szedł powoli, przeciw zwyczajowi z głową spuszczoną: po raz pierwszy trudności życia jawiły mu się w całéj grozie, po raz pierwszy stanął na rozdrożu, i miał wybierać pomiędzy

sprzeczném uczuciem i sprzecznym obowiązkiem. Dla myślącego człowieka każda chwila bytu jest takiém rozdrożem; kto przywykł zastanawiać się nad sobą, ten wie, że każdy krok życia, sprowadzić musi następstwa swoje, że każda chwila brzemienna jest przyszłością; ale on żył dotąd bezwiednie, pełną piersią wciągał powietrze, rozwijał się jak kwiat na słońcu. Myśl jego nie pozostała w uśpieniu, tylko *skierowana* była do zewnętrznych *przedmiotów*, daleko więcéj niż do psychologicznych kwestyj. Razem ze wzrostem sił fizycznych wzrastały i uczucia jego, nabierały mocy, krew krążyła szybko w żyłach, namiętności były gwałtowne, niepohamowane. Ale dotąd uczucia i namiętności były proste, nie spotykały oporu, on sam może nie znał ich miary. Zdawało mu się, że kochać jest rzeczą tak naturalną i łatwą jak oddychać. Nie pojmował *fałszu* ani skrytości sam dla siebie, jak nie podejrzywał podstępu w drugich. Wzrosły wśród pracy i niedostatku nie czuł ich ciężaru, praca nie nużyła jego silnych członków, pracą umiał codzień odżegnywać niedostatek, sam zaś nie pragnął więcéj niż posiadał. Każdego ranka budził się razem ze słońcem do powszednich zajęć; szczęśliwy młodością, rozkwitem swéj bogatéj natury, spoglądał wesoło na świat spowity mgłami jesieni, przysypany całunem śniegu lub ubarwiony zielonością wiosny z wiecznym uśmiechem na malinowych ustach.

Nie zapytał nigdy samego siebie czy inni są więcéj obdarzeni od niego? czy posiadają warunki szczęścia, których jemu brakło? nie pozazdrościł nikomu tysiąca rzeczy, o jakich marzyć nawet nie mógł. A gdy drudzy parobcy we wsi patrzali z zawiścią na młodych paniczów przejeżdżających się na kucykach w ładném ubraniu i zazdrościli im dostatków, on mówił zwykle spokojnie:

— Niech tam sobie mają.

Mówił to z głębi serca, chociaż z tych wszystkich uczuć nie umiał wcale samemu sobie zdać sprawy; obca mu była wszelka refleksya nie dla tego, żeby był do niéj niezdolnym, ale wprost że nie nadarzyła mu się ku temu sposobność; tysiączne żywioły drzemały w nim jeszcze bo nic dotąd nie powołało ich do bytu. Instynkta jego były proste, nie fałszowane niczém, patrzał przed siebie zdrowemi oczyma; jednak co z tych instynktów miało *wyrobić* życie? czy człowiek ten w danéj chwili zdolen był zapanować nad ślepą namiętnością i rozróżnić równie *jasno* drogę swoją wśród manowców lasu, jak dotąd gdy była ona nieskrzyżowana niczém? To pytanie zdawało się teraz ważyć niewidomie nad głową jego, zasępiać mu czoło i palić się ponurym ogniem w spojrzeniu.

Co będzie z nim daléj? co miał przedsięwziąć? jak działać? czy iść za głosem serca, które ciągnęło go do Hanki, czy też zapewnić sobie przyszłość *spokojną* pieniędzmi bogatéj żony? Dla siebie nie wahałby się pewno i zdał spokojnie życie swoje na grę *losu*, ale matka.... Spojrzał na tę nizką pochyloną chatkę, była to jego własność, co chwila poprawiał ją i umacniał, przywiązał się do niéj pracą swoją, i w téj chwili zwyczajna chata wydała mu się dziwnie piękną, położona na małéj płaszczyźnie, przyparta do stroméj góry, okrążona łączką, na któréj kilka grusz szumiało cicho, jak gdyby gwarzyły nad jéj dachem lub tuliły ją do snu.

Na te grusze on patrzał będąc maleńkiém chłopięciem, znał każdą z nich tak, że mógł je widzieć z zamkniętemi oczyma. Nie było gałęzi, którejby nie czepiał się tysiąc razy, drapiąc się po gniazda ptasie lub po owoc zielony. Na górze znał te krzaki zwieszające się ku dołowi coraz dłuższemi gałęziami, i tę jarzębinę panującą nad wąwozem, gdzie w zimie zastawiał sidła na jemiołuszki *zwabione* jagodami. Wszystko to miało dla niego urok *pamiątek*, serce jego przyrosło *bezwiednie* do tych martwych przedmiotów, które widział o każdéj godzinie dnia i nocy, raz skąpane w złotych promieniach słońca, to znowu w cichém księżycowém świetle lub ponurym blasku błyskawic.

Dotąd nie pomyślał, że je mógł porzucić, a jeśli pomyślał kiedy, chwila ta była w mgle niepewności zgubiona jak godzina śmierci; teraz czuł że los zawistny mógł wyrwać go ztąd nagle od

RYSUNKI GROTGERA.

TYPY SIEDMIOGRODZKIE.



Panna młoda.

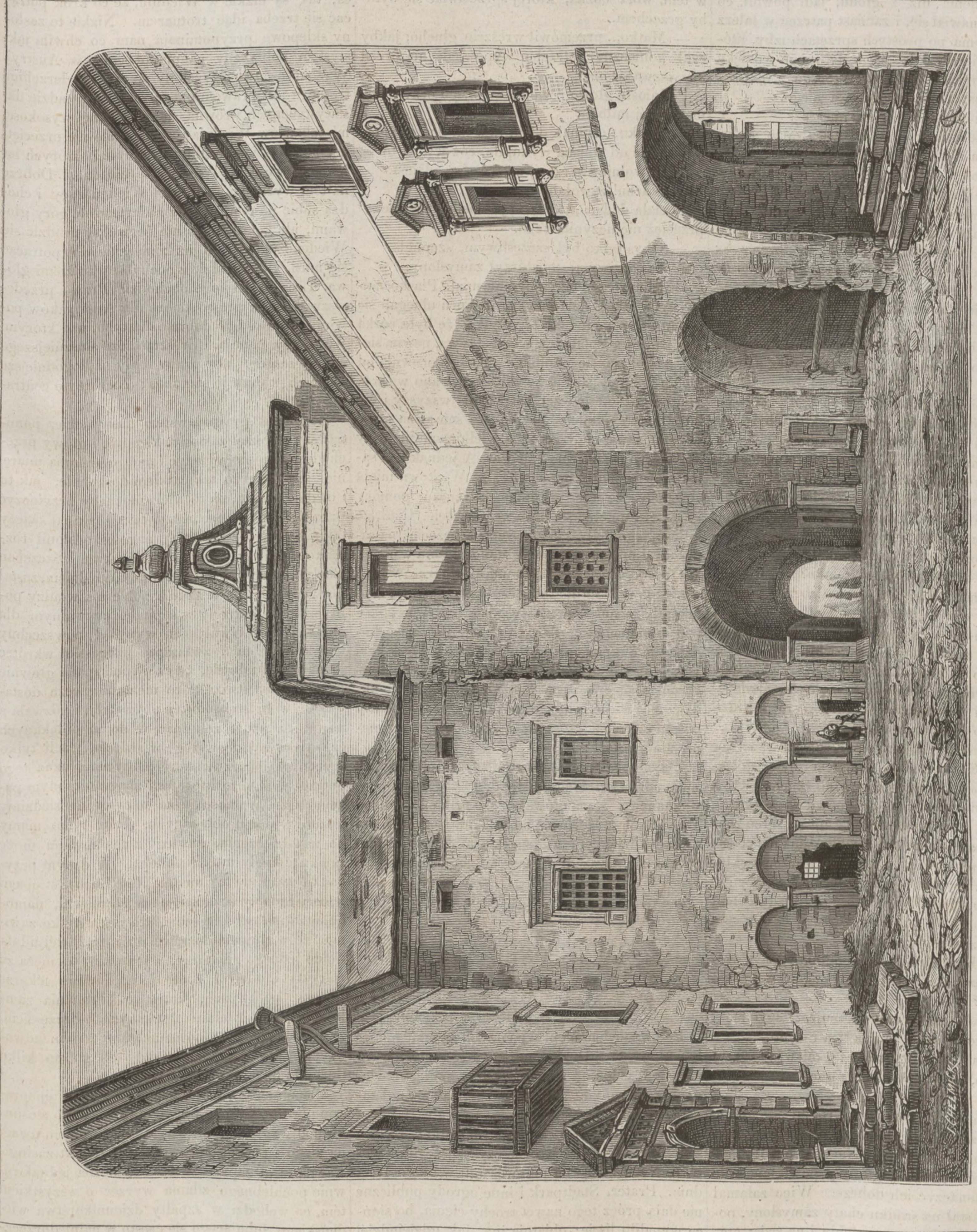


Młoda para.

wszystkiego co kochał i rzucić gdzieś daleko jak serdecznego wygnańca z pośród ukochanych miejsc i ludzi. I uczucie to przejmowało go grozą. Drzewa pozostałyby spokojnie na miejscu i obojętnie chyliłyby czoła pod tchnieniem wiatru, szumiąc jednostajnie, kąpiąc się w rosie i świetle; chata pochylałaby się ku upadkowi i runęła w gruzy nie podtrzymywana przez niego lub przeszła w obce ręce. Hanka... dziewczyna płakałaby zapewne po nim, tęskniła i więdła, a może też i ona zapomniałaby i zwróciła serce gdzie indziéj, — ale matka?... Ona nie mogła się pocieszyć ani obejść bez niego.

Były to wszystko smutne myśli, przecież nie mógł ich odpędzić, gryzły mu mózg i serce, trzeba mu było wybierać pomiędzy tém co kochał, a on wybrać nie mógł. Długi czas stał przed chatą jakby nie śmiał przestąpić jéj progu i lękał się spotkać smutne przygasłe wejrzenie matki, aż wreszcie nagle zdobywając się na odwagę, nasunął czapkę na uszy i wszedł nagle niewyraźnie coś pogwizdując.

Dąbkowa podniosła oczy, i snadź zrozumiała od razu, że synowi coś dolegało, bo nieujęty wy-



Widok zamku w Olesku w Galicyi, z dziedzińca. Rysował z natury Gryglewski.

raz smutku wystąpił na jéj twarz wywiędłą. Stach rzucił czapkę na stół, podparł się na nim łokciem, i niezdolny do udawania patrzał posępnie przed siebie. Matka w milczeniu okrasiła kartofle, wyłożyła na miskę i postawiła przed nim. On zabrał się do jedzenia więcéj widać z przywyknienia niż z głodu, jadł powoli, co chwila zastanawiał się, i zamiast patrzeć w talerz wodził oczyma po prostych sprzętach izby, które teraz nabierały dla niego dziwnego wdzięku i ceny, aż wreszcie łyżka wypadła mu z ręki.

Wzrok matki utkwiony był w niego.

— Stachu szepnęła, czemu nie jesz?

— Nie wiem matko, odparł odsuwając miskę; spracowałem się, a wieczerza nie chce mi przejść przez gardło.

— Czyś nie chory? spytała troskliwie.

Stach powstał uśmiechając się, czerstwe jego ciało nie znało dotąd fizycznéj niemocy.

— O nie, zawołał, podnosząc w górę czoło; wy wiecie, że nigdy nie chorowałem, nie mam na to czasu.

Zbliżył się do matki i pocałował ją w rękę, ale uśmiech jego był przymuszony, widoczna troska ciężyła mu i dolegała. Stara kobieta zatrzymała go przed sobą i spytała wręcz patrząc mu w oczy.

—Co tobie jest Stachu?

Milczał spuszczając głowę, jakby chciał się ukryć przed jéj badawczym wzrokiem.

— O czém tak myślisz? powtórzyła nie odbierając odpowiedzi; powiedz mi co cię boli?

Stach zdawał się wahać przez chwilę, ale nie umiał wcale kłamać i udawać. Na pytanie postawione w ten sposób serce jego uderzyło gwałtownie, i wszystko co czuł cisnęło mu się na usta.

— Na co to próżno gadać, matko? zawołał mocując się sam z sobą. Ot wiecie dobrze, że przyszłość moja wisi na włosku, że lada dzień przyjdzie mi opuścić was i wioskę i pójść gdzieś na kraj świata, nie oglądając się za siebie.

Mówił to z tłumioną wściekłością; zwyczajem natur pierwotnych, nie mógł znieść żadnéj niepewności ani wewnętrznéj rozterki nienawidził wszystko co je powodowało.

Matka westchnęła; przypomnienie strasznéj konieczności ciążącéj nad obojgiem było dostateczne do wytłómaczenia smutku Stacha. Czuła jednak dobrze iż on nie mówił wszystkiego, że gdyby ta jedna troska leżała mu na sercu znalazłoby się na nią lekarstwo; jednak sama nie chciała dotykać téj kwestyi, i dla tego wyrzekła składając ręce z wyrazem cierpienia i rezygnacyi:

— Stachu, Pan Bóg miłosierny czuwa nad wszystkimi.

Syn wstrząsnął głową.

— Woli bozkiéj nikt nie odgadnie odparł; a jeśli mi przeznaczono iść daleko to co z wami będzie matko?

— Więc o mnie się tylko frasujesz? spytała.

Rumieniec wystąpił mu na lica i czoło.

— O was matko, wyrzekł; żal mi was i żal mi wszystkiego, co tu zostawić muszę, żal mi siebie żal...

Na ustach miał pewno imię Hanki, ale go nie wypowiedział; jakieś nieodgadnione uczucie zatrzymało mu je na ustach, Nie miał ochoty mówić o sobie; uczucia jego były powikłane, nie umiał wytłómaczyć ich dobrze. Więc załamał silne ręce i stał na środku chaty zamyślony, ponury, gniewny na samego siebie i na świat otaczający.

Stara kobieta milczała, wargi jéj drżały poruszane jakiemiś niewymówionemi słowami prośby, żalu, czy modlitwy. W téj chwili mogła z łatwością uzyskać od syna czegoby tylko chciała, ale nie śmiała żądać, nie śmiała przemawiać, wszak tu najwięcéj chodziło o nią, na cóż miała narzucać mu przyszłość? Kiedy syn nie dzielił się z nią miłością swoją, ona nie chciała dzielić się nadzieją; wiedziała że serce trudno przyniewolić, a jeśli serce Stacha przylgnęło do Hanki, była w tém wola bozka, któréj sprzeciwiać się byłoby grzechem.

— Matko... przemówił wreszcie głucho, jakby czuł konieczną potrzebę wypowiedzenia przed nią wszystkiego.

Podniosła głowę i wlepiła w niego oczy pełne macierzynéj miłości.

— Matko, ciągnął dalej: rają mi bogatą żonę, coby mnie od wojska wykupiła, cóż wy na to?

Mimowolnie twarz jéj zajaśniała nadzieją.

— Stachu! zawołała.

Chciała dodać: „to byłoby wielkie szczęście,” przecież nie uczyniła tego.

— Obyś tylko był szczęśliwym, szepnęła.

— Szczęśliwym? powtórzył zamyślony.

Bo i dla czegoż takim być nie miał? Płaskocianka była raźną dziewczyną, w tańcu ubiegali się o nią chłopcy, nie dla tego tylko, że była córką zamożnego gospodarza: wesoła, żywa, pewna siebie, podobała się ogólnie, więcéj nierównie od bladéj Hanki, jak ją zwykle nazywano we wsi. Dla czegoż on inaczéj patrzał niż wszyscy i nie mógł serca odmienić, tylko we śnie i na jawie widział zawsze przed sobą wielkie smutne oczy dziewczyny rzucające nań czar. A jednak ona sama mówiła mu przed chwilą, że Wickowa miała słuszność, że nie powinien odrzucać pomocy ludzkiéj i upierać się przy niéj sierocie. Czuł, że miłość jego była szaleństwem, a przecież na samą myśl odstępstwa serce zamierało mu w piersi.

Obecność matki ciążyła mu, powietrze w chacie wydawało się duszące, czuł potrzebę ucieczki, jak gdyby mógł skryć się gdzie przed niepokojem i uniknąć swéj doli. Na czole jego przechodziły fale krwi gorącéj, pierś ściskała tęsknota, w téj chwili pragnął złożyć na wiernéj piersi skroń rozpaloną, zasnąć w niepamięci i nie obudzić się więcéj, lub obudzić się z uczynionem postanowieniem którego, wola jego nawet zmienić nie mogła.

Z tych szalonych żądań może sam nie zdawał sobie sprawy dokładnéj, ale one były w nim niewyznane i formułowały się tylko potrzebą. Więc zamiast rzucić się na posłanie i usnąć zmordowany dziennym trudem, jak to czynił zwykle co wieczór, wyszedł z chaty nie mówiąc słowa.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA.

Wiedeń w sierpniu.

Pod względem nieprzyjemności, na jakie mieszkańcy miast są zwykle narażeni w lecie, nie różni się Wiedeń od innych grodów, mniéj sławionych z porządku. Jak wszędzie, tak i tutaj tumany prochu zaciemniają i zatruwają cały horyzont. Na lekarstwo nie kupisz odrobiny, nie już świeżego, ale choćby trochę czyściejszego powietrza. Nie masz go na półtoréj mili w około Wiednia. Prater, Stadtpark i inne ogrody publiczne nie dają prócz tego nawet trochy cienia, bo słońce wypaliło liście: oblatują już, jak gdzieindziéj dopiero w jesieni. Więcéj cienia i chłodu możnaby znaleźć w ulicach, w samym środku miasta, ale tu znowu grożą rozmaitego rodzaju niebezpieczeństwa; jeżeli nie zostaniesz rozjechanym, uduszonym lub stratowanym, wpadniesz niezawodnie w wodociąg, bo z powodu nadchodzącéj wystawy, w całym Wiedniu kopią obecnie rowy pod nowe wodociągi; jeżeli zaś i tego unikniesz, pewno nie uchronisz głowy, a przynajmniéj cylindra, bo zasłony sklepowe, czy jak się tam zowią te dachy z płótna do zasłonienia gablot od słońca, tak są nizkie w Wiedniu, że co krok potrącać się trzeba idąc trotuarem. Nizkie te zasłony sklepowe przypominają nam co chwila jaki system polityczny panuje obecnie w Austryi. Wysokość bowiem zasłony po nad powierzchnią trotuaru jest prawem oznaczona, na zasadzie dat statystycznych i równa się przeciętnéj wysokości mieszkańców Wiednia i okolicy, ale nie przeciętnéj wysokości wszystkich tych ludzi, których los lub ciekawość do Wiednia sprowadza. Dobrze na tém wychodzą rodowici Wiedeńczycy i chodzą sobie po trotuarach z zadartemi do góry głowami, ale komu Nieba nie pozwoliły urodzić się Wiedeńczykiem, ten już koniecznie albo potrącać się musi, albo chodzić z pochyloną ku ziemi głową. Lecz cóż to kogo obchodzi? Prawo przedewszystkiém, a prawo dobre dla Austryaków powinno eo ipso być dobrém dla tych, nad którymi Austryacy panują. Zresztą cóż słuszniejszego nad tę zasadę, aby prawa były najdogodniejsze dla tych, którzy je stanowią? Niech żyje centralizacya!

Że jednak prawodawstwo austryackie, pominąwszy zresztą zasłony sklepowe i głowy przechodniów nieco wyższych nad przepisaną miarę, nie jest jeszcze tak całkiem doskonałe, jak tu i owdzie głoszą, na to wiele możnaby przytoczyć przykładów, a obecnie zdarzył się tutaj świeży fakt, który w strasznéj nagości odsłonił rozmaite słabizny tego prawodawstwa. Szczepan Bock, kupiec z Sechshausu pod Wiedniem, został porwany z domu w skutek polecenia władzy politycznéj i osadzony w szpitalu prywatnym dla obłąkanych. Gwałt ten wywołał powszechny krzyk oburzenia, zwłaszcza w prassie; wkrótce jednak pokazało się, że cała wina spada głównie na prawodawstwo, które nie zabezpiecza dostatecznie wolności osobistéj obywatela, i pozwala a nawet nakazuje zamknąć w domu obłąkanych człowieka najzdrowszego w świecie, jeżeli tylko urzędowy lekarz władzy politycznéj uzna tego potrzebę. On to więc jest nieograniczonym panem naszéj wolności, i że wszyscy nie siedzimy jeszcze w domu obłąkanych, jemu tylko mamy do zawdzięczenia, każdego z nas bowiem może zamknąć kiedy mu się podoba. W danym przypadku rzecz się tak miała. Ten Bock jest ojcem licznéj rodziny i ma żonę, najzacniejszą, najgodniejszą miłości kobiecinę, która tém tylko zawiniła, że w sprawie domowéj dość drażliwéj udała się do jednego z lekarzy, a ten uznał jéj męża za waryata i odesłał żonę do rządowego lekarza władzy politycznéj, który bez wahania zamknął męża w szpitalu obłąkanych. Szczęściem, że Bock zdołał się porozumieć ze swoim adwokatem, który potrafił wydobyć go po kilku dniach z okropnego więzienia.

Dziennikarstwo krajowe położyło w téj sprawie pewną zasługę wyświeceniem całego stosunku pod względem prawnym i zwróceniem uwagi na niedostateczność prawodawstwa; fakt zasługiwał na to niezaprzeczenie. Nie można jednak równie pochlebnego zdania wyrzec o wszystkiém tém, co wchodzi w szpalty dziennikarstwa wiedeńskiego, lubującego się często w najniedorzeczniejszych baśniach, jeżeli tylko mogą jakkolwiek posłużyć do pozyskania opinii publicznéj dla celów z góry upatrzonych. Tu należy bez wątpienia cała historya o strachu, który miał się pojawiać w zamku cesarskim. Od kilku tygodni

w każdym dzienniku spotkać się można niemal codzień ze świeżemi odkryciami pod względem tego stracha. Widziało go kilku żołnierzy stojących na warcie, ale z ust żołnierzy nie można było dowiedzieć się prawdy, bo jeden uciekł, drugi rozchorował się, inny został jak mówiono zamknięty z polecenia władzy i t. d. Strach tymczasem noc w noc przechadzał się w białém odzieniu po korytarzach w pobliżu mieszkania zmarłéj niedawno arcyksiężny Zofii i niepokoił całe miasto. Nareszcie jakiś śmiałek, któremu gdy stał na warcie, zwycięztwa Moltkego zasnąć nie pozwalały, puścił się w pogoń za strachem i zranił go bagnetem. Wieść we wszystkich dziennikach szczegółowo opowiedziana, rozeszła się w lot nietylko po całym Wiedniu, ale i po całym kraju. Mówiono, że strach składał się zupełnie jak każdy śmiertelnik z kości i z mięsa, że z bolu jęczał, byli nawet tacy, co jego krew na podłodze widzieli. Dzienniki podały nawet jego rysopis, zastrzegając, iż nie zdołano sprawdzić czy to był jezuita. Zastrzeżenie to starczyło za najsilniejsze upewnienie. Wskazywano już nawet klasztor, w którym strach został umieszczony. Najwięcéj jednak chodziło wszystkim o bohatera, który bagnetem rozdarł straszne tajemnice jezuityzmu. Chciano wynagrodzić go za czyn mający stanowić epokę w historyi armii austryackiéj, która jak wiadomo na baby dosyć odważnie uderza choćby z bagnetem w ręku, ale na widok innego nieprzyjaciela posługuje się zwykle strategią, za którą Spartanie przybijali do krzyża swoich gemajnów, jeżeli który śmiał jéj sprobować. Owóż chciano go wynagrodzić i zaczęto już zbierać na ten cel składki, gdy o dziwo! żołnierz ów znika znowu jak kamfora bez pieprzu. Nie zdołano dotąd dowiedzieć się o jego losie, głucha tylko rozchodzi się wieść, że jakaś wyższa potęga jezuicka skryła go w głębokich podziemiach, gdzie dzban wody i kromka spleśniałego chleba jedyne jego pożywienie stanowią. Okropny los! W cóż się tam obróci bohaterska odwaga tego rycerza, który miał kiedyś całą armię austryacką poprowadzić do zwycięztw—nad strachami?

Pomimo zniknięcia stracha i żołnierza, publiczność i dzienniki nie przestają zajmować się tą arcy ciekawą historyą. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że stracha wcale nie było; że wymyślił go tylko żołnierz, który zasnąwszy na warcie i zleciawszy ze schodów, chciał tym sposobem usprawiedliwić swoje uchybienie obowiązkom służbowym. Krew była wprawdzie na ostatnim stopniu schodów, lecz tylko z nosa owego żołnierza.

Obok tych i tym podobnych zdarzeń, mniéj lub więcéj zajmujących uwagę publiczną, mniéj lub więcéj wywołujących żywszą grę namiętności, przygotowania do wystawy powszechnéj bynajmniéj nie schodzą z pola. Owszem każdy niemal dzień przynosi jakąś świeżą myśl, jakiś nowy projekt w tym względzie. Wspomnieliśmy wyżéj o nowych wodociągach, których założenie wystawa przyśpieszyła. Obecnie robią się przygotowania do założenia w całym Wiedniu poczty pneumatycznéj, która ma zaradzić wszystkim niedogodnościom i niedostatkom lokalnych telegrafów elektrycznych, jakie Wiedeń już posiada. Poczta pneumatyczna składać się ma z sieci rur trzycalowych, pod powierzchnią ziemi umieszczonych, któremi listy, na cienkim papierze napisane, odpowiednio złożone i opieczętowane, biedz będą na miejsce przeznaczenia popychane ściskaniem powietrza. Gdy list dobiegnie na miejsce i wypadnie, popychające go powietrze uderzy następnie w dzwonek u wylotu rury umieszczony, i tym sposobem zawiadomi ekspedytora o nadejściu świeżéj posyłki. Korzyści tego sposobu posyłania listów aż nadto są widoczne. Najprzód niepotrzeba ograniczać się na kilkunastu słowach jak przy telegrafowaniu, lecz można zapisać wszystkie cztery strony ćwiartki; daléj, można do listu włożyć pieniądze, a nareszcie jeżeli komu zależy na zachowaniu w tajemnicy tego, co drugiemu donosi, może być pewien, że ściskane powietrze daleko mniéj jest ciekawe niż osoby odpisujące depesze w prywatnych biurach telegraficznych (nie ubliżając telegrafistkom warszawskim, jeżeli w Warszawie tak jak w Wiedniu biura telegraficzne posługują się kobietami). Urządzenie poczty pneumatycznéj w Wiedniu poruczono inżynierowi tutejszemu C. A. Mayerhoferowi. Zrobił on już model i odbył próbę w obecności dyrektorów poczt, telegrafów i t. d., która wypadła całkiem pomyślnie. Zapewniają, że nowa poczta, jakiéj podobno nie ma jeszcze nigdzie w Europie, będzie zupełnie gotowa do wystawy.

Wszędzie widać ruch zbliżeniem się wystawy wzbudzony; można nawet powiedzieć, że wszystko co się obecnie robi w Wiedniu, robi się tylko dla niéj. Policya wydała świeże przepisy dla dorożkarzy i i już teraz wzięła ich pod ścisłą kontrollę, aby zawczasu przyzwyczaić do nowego porządku, a na Ringenstrasse, gdzie największego ruchu podczas wystawy spodziewać się należy, mają wznieść ośm domków w stylu szwajcarskim, w których będą urządzone strażnice zdrowia (Rettungsanstalten).

Niezwykła krzątanina przerwała także głęboką ciszę, jaka dotychczas panowała w willach cesarskich pod Wiedniem, w Schönbrunnie, Hetrendorfie, Laksenburgu. Wszędzie porządki, restauracye, upiększenia bezustanne na porządku dziennym. Tymczasem na samym placu wystawy budowa gmachów na rozmaite cele przeznaczonych postępuje szybko. Gmach, w którym mieścić się będzie dyrekcya generalna, jest już prawie ukończony. Podobnież wkrótce mają być gotowe domy na pomieszczenie urzędu telegraficznego, biur celnych i pocztowych, ponieważ bióro pocztowe ma być otwarte już od 1 Października b. r. Wielce ważnem jest zadanie zaopatrzenia całego miejsca wystawy w dostateczną ilość wody, tak na zwyczajne potrzeby jak i na wypadek pożaru. Obecnie kopią w pobliżu głównego gmachu studnię, która ma być niezmiernie głęboka, co znów jest połączone z wielkiemi trudnościami technicznemi, ponieważ w całym Praterze woda znajduje się wszęna kilka stop pod powierzchnią ziemi. Ilość zwiedzających roboty na placu wystawowym jest bardzo znaczna; do 1 b. m. wynosiła 142,091 osób, co przyniosło 18583 guldenów dochodu. Poza obrębem wystawy, ale tuż w pobliżu, ma być zbudowany teatr letni i wspaniała piwiarnia w któréj sprzedawać będą piwo czeskie z browaru Pilzneńskiego (Pilsen), które w Wiedniu jest teraz w modzie z niemałą szkodą dla Drehera.

Rada gminna miasta Wiednia postanowiła urządzić podczas wystawy powszechnéj osobną wystawę historyczną, która ma przedstawiać obraz rozwoju miasta Wiednia od najdawniejszych czasów, gdy było jeszcze rzymską osadą, do dni dzisiejszych. Wystawa ta będzie podzielona na kilka grupp. W pierwszéj będą się znajdowały plany i ryciny, widoki budynków historycznych i ozdobniejszych, w drugiéj ryciny przedstawiające zdarzenia historyczne, jak np. sceny z czasów oblężenia Wiednia przez Turków i z czasów wojen napoleońskich, wjazdy tryumfalne, hołdy, wesela, pogrzeby, sceny podczas wylewów Dunaju i t. p., wszystko uporządkowane chronologicznie. Dalej nastąpią portrety znakomitych mężów, którzy pochodzili z Wiednia lub tutaj żyli, potém znowu ryciny kostiumów dworskich i ludowych, sceny z życia ludu i obrazy satyryczne, a nareszcie zabytki archeologiczne, sprzęty, narzędzia, ozdoby, pieczęci, dokumenta i medale.

Im bardziéj przybliża się wystawa, tém dotkliwiéj się uczuwać daje brak pomieszkań. Żadna jednak klassa tyle na tém nie cierpi co robocza. Obecnie wiele rodzin téj klassy istnie cygański prowadzi żywot, a rząd nie troszczy się o to i nie rozciąga kontrolli nad przedsiębiercami, wyzyskującymi robotników częstokroć w najohydniejszy sposób. W obec téj dziwnéj obojętności rządu, która oczywiście przyczynia się potężnie do ogólnego rozdrażnienia i stosunki społeczne napręża do najwyższego stopnia, w obec azyatyckiéj chciwości przedsiębierców, wydzierających robotnikowi na komorne cały zarobek, niezwykłém jest w Wiedniu zdarzeniem uczciwe przedsiębierstwo jednego z właścicieli domów na przedmieściu Ladstrasse, przychodzące właśnie do skutku: wznosi on rodzaj koszar dla robotników. Będzie tam kilka sal ogromnych, osobne dla mężczyzn a osobne dla kobiet, z takiém urządzeniem, że za opłatą 70 centów tygodniowo, robotnik dostanie łóżko z pościelą i schowanie na rzeczy, bo też i więcéj nie potrzebuje będąc przez dzień cały przy pracy; nie przepomniano jednak i o innych dogodnościach, należących zwłaszcza do gospodarstwa kobiecego. Nadto w domu tym będzie miejsce osobne pod dozorem administratora, w którém robotnicy mogliby składać dla przechowania pieniądze lub rzeczy większéj wartości jeżeliby je mieli. Życzyćby należało, aby koszar takich jak najwięcéj powstało, jeżeli nie ma być mowy o stawianiu małych domków, któreby robotnicy mogli nabywać na własność, jak to jest w wielu miastach fabrycznych za granicą. Ale jeżeli rząd nie weźmie w tém inicyatywy, drugiego takiego przedsiębiercy, jak wyżéj wzmiankowany, zapewne nie prędko się doczekamy. Jaką taką opiekę rozciąga rząd przynajmniéj nad dziećmi robotników i w ogóle nad dziećmi ludu. Obecnie wyszło świeże rozporządzenie o zakładaniu w całém państwie i urządzaniu ogródków Fröblowskich i przeistoczeniu dotychczasowych ochronek dla dzieci na takież ogródki. Zarazem rozporządzono, aby przy seminaryach dla nauczycielek urządzone zostały osobne kursa dla osób chcących się kształcić na ogrodniczki. Zasady podług których ogródki Fröblowskie mają być urządzone w Austryi, są takie same jak w innych krajach, będą zaś dwojakie ogródki publiczne, utrzymywane kosztem państwa, prowincyi lub gmin i prywatne, założone i utrzymywane przez towarzystwa lub osoby prywatne za zezwoleniem rządu. Ponieważ w Galicyi nie było dotąd ani jednego ogródka Fröblowskiego i bezwątpienia jest tam bardzo mało osób z urządzeniem ogródków praktycznie obeznanych, zwłaszcza ogrodniczek, a Warszawa posiada podobno nieco nauczycieli i nauczycielek pracujących przy ogródkach, byłoby może pożądaną rzeczą ażeby Warszawa przyszła w pomoc Galicyi dostarczeniem kilku zdatnych instruktorów i ogrodniczek.

(*d. n.*)

Zamek w Olesku.

(położony nad rzeką Styrem w Galicyi).

Przedstawiony na str. 603 Wieńca widok zamku w Olesku należy do wielce starożytnych gmachów. Jeszcze w r. 1327 Bolesław Trojdenowicz książe mazowiecki odziedzicza go prawem spadku wraz z przyległemi ziemiami, po nim, sukceduje Lubart książe litewski. W r. 1366 Kazimierz Wielki wciela go do Korony a Ludwik nadaje w roku 1370 siostrzeńcowi swemu Władysławowi księciu Opolskiemu, który w roku 1377 sprzedał go księciu Lubartowi, panującemu na Łucku. Usadowiona w tym miejscu Litwa, często rozpuszczała swe zagony na posiadłości dawnéj Rzeczypospolitéj, nawet w czasie zjednoczenia jéj z Koroną, co było powodem że z rozkazu Władysława Jagiełły w r. 1436 Jan z Sienna Kasztelan Wojnicki po długiem oblężeniu zdobył na rzecz Korony zamek, który Władysław Warneńczyk w roku 1441 wraz z miastem Olesko podarował temuż Kasztelanowi, ówcześnie podkomorzemu przemyskiemu, który odtąd począł się pisać Janem z Sienna Oleskim. Odtąd przechodząc w spadku po kądzieli dzierżyli go między innymi: Herburt, Daniłowicz, Kamieniecki, hetman Żółkiewski, Jakób Sobieski (ojciec króla Jana III) hetman Rzewuski, a w końcu Wojciech Lityński.

W tym zamku urodził się w r. 1629 a nie 1624 król Jan III. Niektórzy dziejopisowie utrzymują jakoby tutaj również urodził się 1639 r. Michał Korybut, czemu wszakże zaprzeczył stanowczo ksiądz Barącz najdokładniejszy monograf Oleska. Zamek w Olesku oparłszy się zwycięzko nie tylko sile czasu ale i nawałom tatarskim, wojnom szwedzkim, pozostał dotąd w całości. Prowadzą do niego dwie wielkie aleje wysadzone lipami. Przy wjeździe na dziedziniec, znajduje się obszerny taras, wysadzony kamiennemi płytami, pod którym mieszczą się stajnie. Zamek tworzą dwa wystające skrzydła, połączone w środku wieżą, w której znajduje się brama wjezdna. Z pierwotnych komnat pozostało jeszcze trzy, zajmowane przez dzisiejszego właściciela: prowadzą do nich kamienne schody przez wązki korytarz. Inne sale późniéj poprzerabiane zdobne sztukateryami i płaskorzeźbami przedstawiającemi Jana III, syna jego Jakóba, oraz rozliczne gatunki ptaków, sceny mitologiczne i t. p. Jednę znich zdobi duży posąg Stanisława Żółkiewskiego umieszczony nad kominkiem. Pokój w którym się urodził król Jan III, jest w kształcie podługowatego czworoboku. Naprzeciw drzwi wchodowych, znajdowała się ówcześnie wielka nisza w któréj stało łóżko, następnie przebito w niéj drzwi, dla połączenia z dalszymi pokojami.



Konie Pocztowe.
Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka.

ROZMAITOŚCI.

— Niemieckie dzienniki handlowe zaczynają się lękać rozwoju dobywania torfu w Królestwie i Cesarstwie, w skutek tego bowiem ucierpieć może w przyszłości wywóz węgla kopalnego szlązkiego sprowadzanego do nas, a angielskiego do Odessy, Rygi i Petersburga, zwłaszcza na potrzeby przemysłu. Rzeczywiście przemysłowcy zagraniczni mogliby się obawiać wyłamania z pod ich przewagi w tym względzie, gdyby u nas na seryo pomyślano o dobywaniu torfu na wielką skalę i urabianiu go w zwarte cegiełki dla ułatwienia przewozu. Tymczasem jednak obawy są jeszcze przedwczesne, bo wszystko niemal dotąd kończyło się na próbach. W Królestwie mocno ogołoconém z lasów, a poczynającém coraz bardziéj wchodzić na tory zawodu przemysłowego, eksploatacya węgla kamiennego jest bardzo skromna, a dobywania torfu z nader licznych i bogatych pokładów nigdzie dotąd na rozleglejszą skalę nie rozwinięto. W guberniach: Podolskiéj, Wołyńskiéj, Kijowskiéj, a daléj za Dnieprem w Kurskiéj, fabryki cukru z buraków niemal zupełnie wytępiły lasy; po przeprowadzeniu jeszcze kolei żelaznych drzewo opałowe drożéj tam dzisiaj się płaci niż za granicą; pokładów węgla kamiennego w pobliżu nie ma, a torfu massy ogromne zalegają szerokie przestrzenie. Pomimo tego w jednych tylko dobrach Branickich eksploatacyę torfu rozwinięto na rozległą skalę w widokach zasilania tym opałem cukrowni. W gubernii Petersburskiéj pod samym tylko Oranienbaumem, w uroczysku Krasnaja Gorka, wartość pokładów torfu obliczają na 10,000,000 rubli, a pomimo ułatwionego spławu Newą, wolą się posługiwać węglem kamiennym sprowadzanym z Anglii. Prawda, że dzięki komunikacyi wodnéj wewnętrznéj, drzewo spławiane do Petersburga z gubernij wschodnich jest stosunkowo jeszcze bardzo tanie; nie wadziłoby jednak pamiętać, że owe lasy północno-wschodnie to wielu wieków zabytki, a wyniszczenia ich niełatwo będzie nagrodzić. Na wystawie politechnicznéj w Moskwie znajdują się obecnie próbki drzewa, z których się okazuje, że drzewo w Taszkencie w przeciągu lat 25ciu wyrasta do 30 calów w przecięciu, nad Jenisejem zaś ledwo dosięga $5^1/_4$ cala, tak dalece jest potężne działanie klimatu. W guberniach nadbaltyckich torf nie odznacza się dobrym gatunkiem; pomimo tego właśnie jakby na przekorę, dobywanie jego na opał już się tam dawno prowadzi... przez Niemców, umiéjących szanować swe lasy... Tak więc widać ze wszystkiego, że dzienniki niemieckie zbyt wcześnie się obawiają naszéj słowiańskiéj przedsiębierczości; dla uśmierzenia popłochu mogą po trochu brać w rachubę naszą kochaną.... gnusność.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою. Варшава 3 (15) Августа 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.